

Wprost 2010-04-25

WSPOMNIENIA O OFIARACH

JANUSZ KOCHANOWSKI (1940-2010)

Politycznie niepoprawny

Janusz Kochanowski nie pasował do tej rzeczywistości. Komunistów nie cierpiał, dla Platformy był zbyt konserwatywny, z PiS - jak mówił w przyływach irytacji - było mu nie po drodze z przyczyn estetycznych. Chcąc w takim otoczeniu coś zmienić, walczył z wiatrakami.

Studiując prawo, przypadkiem trafiłam na prowadzoną przez niego dyskusję naukową (dziś za nic nie mogę sobie przypomnieć, czego dotyczyła) i zobaczyłam człowieka, który kompletnie nie pasował do mojej wizji świata: chciał karać surowo, nie wierzył w resocjalizację zbrodniarzy, pochwalał zasadę "zera tolerancji dla przestępców". Wyrazy zdumienia i oburzenia tak wstecznymi poglądami przyjmował niezmiennie z lordowskim półśmiechem pobłażania. Przy swoich bezkompromisowych poglądach był jednak także najbardziej dowcipnym, błyskotliwym, cudownie ironicznym (i autoironicznym) rozmówcą, jakiego znałam. W połowie czwartego roku studiów porzuciłam kryminalistykę i procedurę karną, by dopisać się do trwającego już seminarium doktora Kochanowskiego. Nie mogłam się spodziewać, jak bardzo to spotkanie zaważy na moim życiu.

Nie dawał się lubić tak po prostu. Na seminarium zapisał mnie, deklarując jednocześnie, jak zwykle z uśmiechem, że z zasady jest przeciwny studiowaniu kobiet. Że ubolewa nad czasami, które kazały mu wysłać córkę na uniwersytet (dziś Marta jest cenioną prawniczką w Londynie), bo od emancypacji kobiet wziął początek upadek naszej cywilizacji. Kiedy już wiedział, jak dalekie są mi takie poglądy, tym chętniej prowokował dyskusję. Nie przeszkadzało mu to doceniać kobiet, gdzie tylko mógł. Lubił z nimi współpracować w fundacji Ius et Lex, która była jego oczkiem w głowie. Otaczał się nimi również w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich. W osiągnięciu stawianych sobie celów był kategoryczny i konsekwentny. Kiedyś miał brutalnie wyznać: "Mnie interesują sprawy, nie ludzie". Ale był w tym fałsz: po pierwsze, te sprawy były zawsze dla ludzi. Po drugie, nawet jeśli ludzie go nie interesowali, był to najbardziej ujmujący brak zainteresowania, jakiego w życiu zaznałam.

Media, zwłaszcza te postępowe, lubiły z niego robić demonicznego, kostycznego ekscentryka; czasem wręcz niebezpiecznego dla wolności i demokracji. Nawet kiedy ewidentnie "wycinał numer", brano go serio i potępiano z całą surowością politycznej poprawności. Tak jak wtedy (to na mojej liście absolutny hit), gdy po awanturze o wręczoną lekarzowi filiżankę Rosenthala powiedział w radiu, że Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki, bo gdyby chodziło o porcelanę z Włocławka, to nie byłoby afery. Część autorytetów ironii nie załapała. Jemu ta surowość dziennikarskich ocen nawet chyba nie bardzo przeszkadzała. Dla dobra - dla autorytetu - pełnionego urzędu wołał to niż "ocieplanie" wizerunku. Uważał, że dobry rzecznik praw obywatelskich nie może być głaskany, zwłaszcza przez środowiska mainstreamowe. Nie chciał publicznie zaprzeczyć swoim ambicjom prezydenckim, bo nie chciał być traktowany jako przemiły starszy pan, którym w rzeczywistości był. W jego eleganckim mieszkaniu na Saskiej Kępie, wśród stylowych mebli, porcelanowych talerzyków, podczas rozmów pełnych kurtuazji i sarkazmu najwyższej próby, często rej wodziła maleńka, wielorasowa (bo przecież nie kundel) Frania, przygarnięta podczas urlopu w Zakopanem.

Rozważając najwyższe idee i największe wyzwania współczesności, doktor Kochanowski nagle zmieniał ton, by ją czułymi słowami przywołać, uciszyć, rzucić jej piłeczkę. Pozwalał jej linieć na nogawkach szacownych gości. A przez jego mieszkanie przewijali się zarówno wpływowi politycy, jak i nieopierzeni studenci prawa, którym pokazywał, że nie ma dróg na skróty. Obdarzał zaufaniem, powierzał obowiązki nie na ich miarę, uczył pracy i organizacji. A potem dawał błogosławieństwo na dalszą drogę - wykorzystywał swoje przyjaźnie, by pomóc młodym prawnikom zahaczyć się na trudnym rynku pracy. Jeśli domagał się zniesienia przywilejów korporacji prawniczych, to właśnie po to, by otworzyć drogi awansu dla młodych zdolnych, lecz bez pleców.

- Proszę walczyć, trzeba walczyć - to ostatnie słowa, jakie usłyszała od Janusza Kochanowskiego jego rzeczniczka Marta Kukowska. On sam zdawał się walczyć non stop, jednak w jego spojrzeniu wyczuwało się rodzaj rezygnacji, zwątpienia w sukces. W swoim gabinecie miał reprodukcję Picassowskiego Don Kichota. Czuł, że walczy z wiatrakami: szykując projekt reformy prawa, domagając się od ministrów współpracy i odrobiny dobrej woli, forsując inicjatywy, które przekraczały kompetencje jego urzędu. - Ale ja z natury jestem leniwy! - przekonywał podczas jednej z naszych ostatnich rozmów. - Gdyby tylko ktoś zechciał się zająć tymi wszystkimi sprawami, z przyjemnością je odstąpię!

Ale nikt się nie zajmował, więc rzecznik praw obywatelskich interweniował w sprawie leczenia heroinistów, wlepiania mandatów na podstawie zdjęć z fotoradarów, potrzeb mieszkaniowych najuboższych, bezpieczeństwa energetycznego Polski - że przytoczę tylko kilka wystąpień z ostatnich tygodni. Mało kto go za tę nadaktywność chwalił. Urzędnicy raczej się od niego opędzali, a on takiego sposobu urzędowania nie uznawał. W sprawach, w które wierzył, potrafił być bezkompromisowy, i to nie przysparzało mu sympatii.

Osiem lat temu pomagałam fundacji Ius et Lex organizować międzynarodową konferencję i przekonałam się, jak trudnym szefem jest Janusz Kochanowski. Wymagał absolutnego zaangażowania, ale jeszcze więcej wymagał od siebie. Przez kolejne lata nasze relacje się rozluźniały. Poszłam nie tą drogą, którą dla mnie wymyślił, i przy każdej okazji przypominał mi, że się marnuję. W jego ustach był to wspaniały komplement.

Swoim drugim, pełnym życzliwości obliczem obdarzał wielu. Tych, co spodziewali się po nim urzędniczej powagi, zaskakiwał żartem. Tych, których znał dłużej, rozbrajał osobistym podejściem (na promocji internetowego projektu Codziennikprawny.pl wyciągnął jak królika z kapelusza koszulkę promocyjną w rozmiarze niemowlęcym: "A to rozmiar specjalnie dla twojej córeczki").

Doktor Kochanowski w ostatnich dniach życia najwięcej sił angażował w walkę o przetrwanie Instytutu Pamięci Narodowej w dotychczasowym kształcie. Jeszcze w czwartek w Senacie dyskutował o zablokowaniu nowelizacji ustawy o IPN. Zostawił też gotowy do druku zbiór tekstów różnych autorów "Quo vadis Poloniae w drodze do demokratycznego państwa prawa 1989-2009". Zdążył jeszcze wybrać motto dla tej publikacji, cytat z Jana Kochanowskiego: "A jeśli komu droga otwarta do nieba, Tym, co służą Ojczyźnie"... W niedzielę 18 kwietnia skończyłby 70 lat.

BARBARA KASPRZYCKA